

Paweł Krupa OP

KONIEC CZASÓW

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018
© Anna Wasiewicz, Paweł Krupa op

Opracowanie: Anna Wasiewicz
Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Korekta: Anna Kopeć-Śledzikowska, Katarzyna Onderka
Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska
Projekt okładki: Emilia Pyza

NIHIL OBSTAT
Prowincja Polski Południowej TJ,
ks. Jakub Kołacz SJ, prowincjał,
Kraków, dn. 16 października 2018 r., l.dz. 32/2018

ISBN 978-83-277-1632-3

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
www.wydawnictwowam.pl

druk: AMW • Wrocław



Ta książka jest owocem rozmów dwojga ludzi: dominikańskiego kaznodziei i dziennikarki – żony, matki dwóch wspañałych chłopców. Dziennikarka i dominikanin, dwoje chrześcijan, którzy zadają pytania i skleją zbierane mozolnie fragmenty odpowiedzi, znajdujących we wnętrzu duszy, na kartach Pisma Świętego i w chrześcijańskiej tradycji. To wszystko dzieje się w naszym świecie: tu i teraz. A nasz świat jest gorzki i słodki, piękny i przerażający, zamknięty jak najbardziej strzeżona tajemnica i otwarty jak leżąca na stole księga. Naszej książki nie byłoby bez wzajemnego zaufania i nadziei, że poklejone fragmenty ułożą się kiedyś w piękny, bogaty kształt. Nawet jeśli w całości będzie go można obejrzeć dopiero po drugiej stronie śmiertelnej bramy. Dziennikarka i dominikanin wierzą, że za tą bramą nie czekają ich pustka i niebyt. Ta wiara bywa czasem wystawiona na niejedną próbę, to jasne, ale ufają.

Anno, dziękuję za te rozmowy.

I

**Pytać, nie pytać –
oto jest pytanie**



Wstęp

Mój wujek ksiądz miał warszawę, którą jeździł niezbyt długo, ponieważ te samochody były nieprawdopodobnie wadliwe: zakupiony przez niego egzemplarz rozleciał się jeszcze w okresie gwarancyjnym. Rzecz działa się w latach siedemdziesiątych. Państwowa firma Polmo-zbyt nie była skora do zwracania pieniędzy, więc zrobiło się nieprzyjemnie i wujek poszedł do sądu. Tak się złożyło, że jego adwokat nosił nazwisko Boski, i wujek długo przechowywał telegram, jaki od niego dostał: „Księżę proboszczu, rozprawa w czwartek, godzina piąta. Boski. Adwokat”. Śmialiśmy się często z tego „nadprzyrodzonego” adwokata.

Bóg nie potrzebuje adwokatów, tylko świadków. A jednak... Czasem trzeba o Nim pomyśleć i pogadać, być Jego rzecznikiem. Choćby z racji mojego powołania występuję często w roli takiego „Boskiego adwokata”. Spotykam ludzi, którzy mają poczucie, że świat nie został najlepiej urządzony, a winą za ten stan rzeczy obarczają Pana Boga, w którego zresztą niespecjalnie wierzą. Mówią o błędach Pana Boga, o tym, że Ewangelia im „nie styka”, że nauczanie Chrystusa nie konweniuje ze światem, w którym

im przyszło żyć. Jakoś gubią w tym wszystkim prawdę zasadniczą, że przecież i oni ten świat kształtują. Zamiast stwierdzać, co też Panu Bogu nie wyszło – jak Woody Allen mawia o starości – lepiej byłoby zadać sobie trud, by Go poznać, a przez to zrozumieć (na tyle, na ile stworzenie zrozumieć może Stwórcę, który je we wszystkim przekracza). I spróbować współdziałać z Bogiem w świecie.

Czytałem kiedyś wywiad z prof. Wandą Półtawską, która z właściwą sobie energią tłumaczyła rolę rozumu dla wiary: „Pytałam kiedyś młodego chłopaka, kiedy ostatni raz się spowiadał. On na to, że nawet nie pamięta. Nie pamiętał, bo to go nawet nie interesowało. Nie spowiadał się, bo nie czuł takiej potrzeby. A nie czuł potrzeby, bo dusza to nie jest żołądek, który wyrzuci trochę kwasów żołądkowych i zacznie boleć, by zwrócić na siebie uwagę. Duszy nie można czuć, o duszy trzeba wiedzieć. Twój rozum musi ci powiedzieć, że skoro jesteś, to ktoś cię stworzył; nie wykiełkowałeś z kamienia. Będiesz więc wierzył wtedy, jeśli użyjesz rozumu. Głupi nie może wierzyć. Jeśli nie wierzysz, jest to twoja wina, bo nie rozwijasz swojego rozumu”.

Poszedłbym nawet dalej, bo jeżeli się dobrze zastanowimy nad całym intelektualnym i duchowym wysiłkiem wiary w Boga w Trójcy Jedynej, to chyba wszyscy prędzej czy później dochodzimy do granicy wszelkich argumentów – jak najbardziej sensownych, logicznych, teologicznych, filozoficznych. Dochodzimy do kresu i wtedy przychodzi doświadczenie pewności: „Ja wiem,

że tak jest”. To jest działanie Ducha Świętego w nas, to jest dar łaski wiary, który otrzymujemy od Chrystusa. To przeświadczenie jest mocniejsze niż wszelkie argumenty i pozwala nam przetrwać nawet, kiedy idziemy w strasznym mroku, nawet kiedy wszystko wokół wydaje się nie mieć sensu. Ja wiem, że to jest Zbawiciel. Dlaczego? Bo wierzę! To jest ten przedziwny paradoks: wiara, która daje wiedzę...



Niepercypowalne intelektualnie

Wiara, a wydaje mi się, że jeszcze bardziej nadzieja. I to jest przedziwne, że nadzieja, ta, o której mówimy jako o cnocie teologalnej, przychodzi od Boga, to jest dar Boży, to jest taka nadzieja, która nie jest tylko spodziewaniem się czegoś czy wyobrażaniem sobie, tylko jest czymś takim, co ci daje rodzaj komfortu, ale i rozdarcia: jedną nogą jesteś już tam, gdzie masz nadzieję być. To, na co masz nadzieję, jakoś się już spełnia, choć w pełni tego jeszcze nie ma, chociaż wciąż się spodziewasz.

Nie mam pewności, czy wiara, nadzieja i miłość pojawiają się jako rezultat, jako końcowy etap naszych pytań. Sądzę raczej, że to się dzieje paralelnie, że to nie jest tak, że musimy najpierw coś zrobić, przepytac, przemyśleć, zadać niewygodne pytanie, roztrząsnąć do głębi, a potem na koniec pojawiają się nadzieja, wiara i miłość. Wydaje mi się, że jeżeli odważymy się zadawać Bogu pytania, to On nam odpowiada nie tyle uczonym wywodem czy przekonującymi argumentami, ile właśnie udzielaniem nam wiary, nadziei i miłości. Dlatego że kiedy

my pytamy Pana Boga, to musimy mieć świadomość, że pytamy istotę nieskończenie nas przewyższającą; gdyby bowiem ta istota otworzyła swoje usta i wypowiedziała siebie, gdyby otworzyła przed nami swoje wnętrze, to nie zdążylibyśmy nic usłyszeć, boby nas rozsadziło, sam oddech Pana Boga zmiotłby nas z powierzchni ziemi, obróciłby nas w proch i pył; albo inaczej – byłaby to taka Niagara dźwięków, że nie bylibyśmy w stanie ich zrozumieć, bębenki by nam pękły; albo inaczej – byłaby to cisza, nieznośna, rozsadzająca. Mówiąc krótko, byłoby to takie doświadczenie, którego nie bylibyśmy w stanie znieść, coś, co byłoby dla nas intelektualnie nieprzyswajalne. Wobec czego On nam posyła wiarę, nadzieję i miłość, żebyśmy mogli znajdować odpowiedzi na nurtujące nas pytania duchowe niejako w sposób doświadczalny: nie tyle przez pojęcia, ile przez doświadczenie, które stanie się argumentem przemawiającym także do naszego intelektu. Coś w rodzaju nauki empirycznej, w której rzeczywistość wyprzedza teorię, przekraczając ramy naszego dotychczasowego poznania.

Przypatrzmy się pracy Boskiego adwokata. Zbiera rozmaite bolączki, wątpliwości, robi listę zarzutów, jakie ludzie stawiają Bogu, błędów, jakie Mu wytykają, zapisuje to, czego w Nim nie rozumieją i co Mu słusznie lub niesłusznie przypisują (ciekawe, że to najczęściej idzie właśnie w tym kierunku – nie dziękczynienia, ale pretensji). A potem szuka odpowiedzi i wyjaśnień, wierząc w Niego i wierząc Jemu. Ktoś mógłby zarzucić takiemu

postępowaniu intelektualną nieuczciwość: autor przekonany z góry, że Bóg ma rację, zadaje Mu niewygodne pytania w imieniu nieprzekonanych czy niepewnych! Czy tak można? Można. Co więcej, jestem przekonany, że jeżeli chce się otrzymać Bożą odpowiedź, to trzeba Mu zadawać pytania w atmosferze wiary. Mogę oczywiście zadowolić się odpowiedzią na moją miarę, którą w pewnym sensie sam sobie wymyślę. Ale jeżeli chcę otrzymać odpowiedź od samego Boga, to muszę przyjąć od Niego teologalne cnoty wiary, nadziei i miłości, czyli uzdolnienie do zrozumienia Jego języka. Inaczej po prostu nie pojmę Go i nie znajdę z Nim porozumienia. I to będzie nie tyle „mówił dziad do obrazu, a obraz doń ani razu”, ile raczej „pytał dziad obrazu, a nie pojawiwszy odpowiedzi, zaczął gadać sam do siebie”.

Prosimy zatem: Panie Boże, chcę uwierzyć, chcę zrozumieć, i zaczynamy kombinować, czytać, myśleć etc. Nam się zdaje, że robimy to sami – Bóg jest daleko i wysoko, a my tu, na nizinach, z naszymi dręczącymi pytaniami, ale to nie tak. Kiedy zadajemy Mu pytanie z wiarą, On posyła Ducha Świętego, czyli wiarę, nadzieję i miłość, które pomagają nam sformułować odpowiedź. To się dzieje jednocześnie. I nawet nie czujemy tego momentu, w którym On, chcąc, żebyśmy zrozumieli, wzmacnia nasz umysł, wzmacnia naszą duszę, posyłając nam cnoty, które pozwalają nam lepiej Go zrozumieć. Zresztą to wcale nie jest sprzeczne z racjonalnością, spotykamy to przecież nawet w myśleniu typowo naukowym. Jeżeli chcę

zrozumieć matematykę, to wcześniej kilka zasad muszę przyswoić, muszę się na nie zgodzić, muszę je pojąć i przez ich pryzmat badać dalej. Tak samo muszę przyjąć lub choćby na serio założyć istnienie Boga, żeby móc o Nim myśleć jako o przedmiocie moich rozważań, lub – więcej jeszcze – otrzymać od Niego odpowiedź.



Jeżeli jesteś, zbaw pomimo to duszę moją, jeżeli ją mam

Ludzie obawiają się, że w takiej postawie być może ukryta jest pułapka. Kiedy bowiem założę sobie (choćby na potrzeby przeczytania tej książki), że Pan Bóg istnieje, i powiem: Panie Boże, przez ciekawość, założmy, że jesteś, to czy już nie staję się człowiekiem wierzącym? A przecież powinienem zachować chłodny obiektywizm. Czy zakład Pascala nie jest pułapką na sceptyków i ateistów? Rzecki w *Lalce* Prusa wspomina żołnierza z czasów rewolucji francuskiej, który tak się modlił: „Panie Boże, jeżeli jesteś, zbaw pomimo to duszę moją, jeżeli ją mam”. Ludzie się więc wzbraniają, bo ktoś proponuje im, by uwierzyli, żeby zrozumieć, a oni tak nie chcą – chcieliby zostać spektakularnie oświeceni bez wewnętrznego zaangażowania. Niełatwo jest wierzyć na kredyt – zgoda. Ale konieczny jest warunek minimum: jeśli pozostajesz na zewnątrz wiary i nawet teoretycznie nie chcesz jej w sobie założyć, musisz przynajmniej być szczery, gdy pytasz, inaczej niż faryzeusze z Ewangelii, którzy zadawali Chrystusowi pytania wyłącznie po to, by jątrzyć. Panu Bogu

to wystarczy, wyjdzie ci naprzeciw, jestem o tym przekonany. I zaczyna wtedy zachodzić w nas dziwny proces: niby próbujemy zrozumieć Pana Boga „z zewnątrz”, ale w pewnym sensie już mamy Go „wewnątrz”, już zrozumieliśmy i tylko tłumaczymy Go sobie na zrozumiałe dla nas pojęcia. To jest słynne zdanie św. Augustyna: „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie już wcześniej nie znalazł”.



Dowód na istnienie

Przypomina mi się w tym momencie historyjka, na którą natknąłem się w internecie. Przypisuje się ją Albertowi Einsteinowi – niesłusznie. Nie mam pojęcia, kto jest jej autorem, ale przytaczam w całości, bo dość efektownie rozprawia się z wątkami, o których nierzadko przychodzi mi rozmawiać z ludźmi:

„Niewierzący profesor filozofii w audytorium wypełnionym studentami zadaje pytanie jednemu z nich:

- Jesteś chrześcijaninem, synu, prawda?
 - Tak, panie profesorze.
 - Czyli wierzysz w Boga.
 - Oczywiście.
 - Czy Bóg jest dobry?
 - Naturalnie, że jest dobry.
 - A czy Bóg jest wszechmogący? Czy Bóg może wszystko?
 - Tak.
 - A ty jesteś dobry czy zły?
 - Według Biblii jestem zły.
- Na twarzy profesora pojawia się uśmiech wyższości.
- Ach tak, Biblia!

A po chwili zastanowienia dodaje:

- Mam dla ciebie pewien przykład. Powiedzmy, że znasz chorą i cierpiącą osobę, którą możesz uzdrowić. Masz takie zdolności. Pomógłbyś tej osobie? Albo czy przynajmniej spróbowałbyś?

- Oczywiście, panie profesorze.

- Jesteś zatem dobry!

- Myślę, że nie można tego tak ująć.

- Dlaczego nie? Przecież pomógłbyś chorej, będącej w potrzebie osobie, jeśli tylko miał tę możliwość. Większość z nas by tak zrobiła. Ale Bóg nie.

Wobec milczenia studenta profesor mówi dalej:

- Nie pomaga, prawda? Mój brat był chrześcijaninem i zmarł na raka, pomimo że modlił się do Jezusa o uzdrowienie. Zatem czy Jezus jest dobry? Czy możesz mi odpowiedzieć na to pytanie?

Student nadal milczy, więc profesor mówi:

- Nie potrafisz udzielić odpowiedzi, prawda?

Aby dać studentowi chwilę na zastanowienie, profesor sięga po szklankę ze swojego biurka i wypija łyk wody.

- Zaczniemy od początku, chłopcze. Czy Bóg jest dobry?

- No tak... jest dobry.

- A czy Szatan jest dobry?

Bez chwili wahania student odpowiada:

- Nie.

- A od kogo pochodzi Szatan?

Student wzdraga się:

- Od Boga.
- No właśnie. Zatem to Bóg stworzył Szatana. A teraz powiedz mi jeszcze, synu, czy na świecie istnieje zło?
- Istnieje, panie profesorze...
- Czyli zło jest obecne we wszechświecie. A to przecież Bóg stworzył wszechświat, prawda?
- Prawda.
- Kto zatem stworzył zło? Skoro Bóg stworzył wszystko, zatem Bóg stworzył również zło. A jeżeli zło istnieje, zgodnie z regułami logiki także Bóg jest zły.

Student ponownie nie potrafi znaleźć odpowiedzi.

- A czy istnieją choroby, niemoralność, nienawiść, ohyda? Te wszystkie okropieństwa, które pojawiają się w otaczającym nas świecie?

Student drżącym głosem odpowiada:

- Występują.
- A kto je stworzył?

W sali zalega cisza, więc profesor ponawia pytanie:

- Kto je stworzył?

Wobec braku odpowiedzi profesor zatrzymuje się i rozgląda po sali. Wszyscy studenci wstrzymują oddech.

- Powiedz mi - wykładowca zwraca się do kolejnej osoby - czy wierzysz w Jezusa Chrystusa, synu?

Zdecydowany ton odpowiedzi przykuwa uwagę profesora:

- Tak, panie profesorze, wierzę.

Profesor zwraca się do studenta:

- W świetle nauki masz pięć zmysłów, których używasz do oceny otaczającego cię świata. Czy kiedykolwiek widziałeś Jezusa?

- Nie, panie profesorze, nigdy Go nie widziałem.

- Powiedz nam zatem, czy kiedykolwiek słyszałeś swojego Jezusa?

- Nie, panie profesorze.

- A czy kiedykolwiek Go dotykałeś, smakowałeś czy może wąchałeś? Czy miałeś jakiś fizyczny kontakt z Jezusem Chrystusem czy też Bogiem w jakiegokolwiek postaci?

- Nie, panie profesorze. Niestety nie miałem takiego kontaktu.

- I nadal w Niego wierzysz?

- Tak.

- Przecież nauka zgodnie z zasadami empirii twierdzi, że Twój Bóg nie istnieje... Co ty na to, synu?

- Nic - pada odpowiedź. - Mam tylko swoją wiarę.

- Tak, wiarę... - powtarza profesor - i właśnie w tym miejscu nauka napotyka problem z Bogiem. Nie ma dowodów, jest tylko wiara.

Student milczy przez chwilę, po czym sam zadaje pytanie:

- Panie profesorze, czy istnieje coś takiego jak ciepło?

- Tak.

- A czy istnieje takie zjawisko jak zimno?

- Tak, synu, zimno również istnieje.

- Nie, panie profesorze, zimno nie istnieje.

Wyraźnie zainteresowany profesor odwraca się w kierunku studenta. Student zaczyna wyjaśniać:

- Może pan mieć dużo ciepła, więcej ciepła, superciepło, megaciepło, ciepło nieskończone, rozgrzanie do białości, mało ciepła lub też brak ciepła, ale nie mamy niczego takiego, co moglibyśmy nazwać zimnem. Może pan schłodzić substancję do temperatury minus 273,15 stopni Celsjusza, czyli zera absolutnego, co właśnie oznacza brak ciepła, nie potrafimy osiągnąć niższej temperatury. Nie ma takiego zjawiska jak zimno, w przeciwnym razie potrafilibyśmy schładzać substancje do temperatury poniżej 273,15 stopnia. Każda substancja lub rzecz poddają się badaniu, kiedy mają energię lub są jej źródłem. Zero absolutne jest całkowitym brakiem ciepła. Jak pan widzi, profesorze, zimno jest jedynie terminem, który służy nam do opisu braku ciepła. Nie potrafimy mierzyć zimna. Ciepło mierzymy w jednostkach energii, ponieważ ciepło jest energią. Zimno nie jest przeciwieństwem ciepła, zimno jest jego brakiem.

W sali wykładowej zalega głęboka cisza. W odległym kącie ktoś upuszcza pióro, a jego odgłos zdaje się przypominać uderzenie młota.

- A co z ciemnością, panie profesorze? Czy istnieje takie zjawisko jak ciemność?

- Tak - odpowiada bez wahania profesor. - Czymże jest noc, jeśli nie ciemnością?

- Jest pan znowu w błędzie. Ciemność nie jest czymś, ciemność jest brakiem czegoś. Może pan mieć niewiele

światła, normalne światło, jasne światło, migające światło, ale jeśli tego światła brak, wtedy nie ma nic i właśnie to nazywamy ciemnością, czyż nie? Właśnie takie znaczenie ma słowo „ciemność”. W rzeczywistości ciemność nie istnieje. Gdyby istniała, potrafiłby pan uczynić ją jeszcze ciemniejszą, czyż nie?

Profesor uśmiecha się nieznacznie, patrząc na studenta. Zapowiada się dobry semestr.

- Co mi chcesz przez to powiedzieć, młody człowieku?
- Zmierzam do tego, panie profesorze, że założenia pańskiego rozumowania są fałszywe od samego początku, zatem końcowy wniosek jest również fałszywy.

Tym razem na twarzy profesora pojawia się zdumienie:

- Fałszywe? W jaki sposób zamierzasz to uzasadnić?
- Założenia pańskich rozważań opierają się na dualizmie - wyjaśnia student. - Twierdzi pan, że jest życie i jest śmierć, że jest dobry Bóg i zły Bóg. Rozważa pan Boga jako kogoś skończonego, kogo możemy poddać pomiarom. Panie profesorze, nauka nie jest w stanie wyjaśnić nawet takiego zjawiska jak myśl. Używa pojęć z zakresu elektryczności i magnetyzmu, nie poznawszy przecież w pełni istoty żadnego z tych zjawisk. Twierdzenie, że śmierć jest przeciwieństwem życia, świadczy o ignorowaniu faktu, że śmierć nie istnieje jako mierzalne zjawisko. Śmierć nie jest przeciwieństwem życia, tylko jego brakiem. A teraz, panie profesorze, proszę mi odpowiedzieć, czy naucza pan studentów, którzy pochodzą od małp?

- Jeśli masz na myśli proces ewolucji, młody człowieku, to tak właśnie jest.

- A czy kiedykolwiek obserwował pan ten proces na własne oczy?

Profesor potrząsa głową, wciąż się uśmiechając, zdawszy sobie sprawę, w jakim kierunku zmierza argumentacja studenta. Bardzo dobry semestr, naprawdę.

- Skoro żaden z nas nigdy nie był świadkiem procesów ewolucyjnych i nie jest w stanie ich prześledzić, wykonując jakiekolwiek doświadczenie, to przecież w tej sytuacji, zgodnie ze swoją poprzednią argumentacją, nie wykląda nam już pan naukowych opinii, prawda? Czy nie jest pan w takim razie bardziej kaznodzieją niż naukowcem?

Wzmaga się szum. Student czeka, aż napięcie opadnie.

- Żeby panu uzmysłowić sposób, w jaki manipulował pan moim poprzednikiem, pozwolę sobie podać panu jeszcze jeden przykład.

Student rozgląda się po sali.

- Czy ktokolwiek z was widział kiedyś mózg pana profesora?

Studenci w audytorium wybuchają śmiechem.

- Czy ktokolwiek z was kiedykolwiek słyszał, dotykał, smakował czy wąchał mózg pana profesora? Wygląda na to, że nikt. A zatem zgodnie z naukową metodą badawczą, jaką przytoczył pan wcześniej, można powiedzieć, z całym szacunkiem dla pana, że pan nie ma mózgu, panie profesorze. Skoro nauka mówi, że pan nie ma mózgu, jak możemy ufać pańskim wykładom, profesorze?

Profesor patrzy na studenta oczyma szeroko otwartymi z niedowierzania. Po chwili milczenia, która wszystkim zdaje się jak wieczność, profesor wydusza z siebie:

- Wygląda na to, że musicie je brać na wiarę.
- A zatem przyznaje pan, że wiara istnieje, a co więcej, stanowi niezbędny element naszej codzienności. A teraz, panie profesorze, proszę mi powiedzieć, czy istnieje coś takiego jak zło?

- Oczywiście, że istnieje. Dostrzegamy je przecież każdego dnia. Choćby w codziennym występowaniu człowieka przeciw człowiekowi. W całym ogromie przestępstw i przemocy obecnych na świecie. Przecież te zjawiska to nic innego jak właśnie zło.

- Zło nie istnieje, panie profesorze, albo też raczej nie występuje jako zjawisko samo w sobie. Zło jest po prostu brakiem Boga. Jest jak ciemność i zimno, występuje jako słowo stworzone przez człowieka dla określenia braku Boga. Bóg nie stworzył zła. Zło pojawia się w momencie, kiedy człowiek nie ma Boga w sercu. Zło jest jak zimno, które jest skutkiem braku ciepła, i jak ciemność, która jest wynikiem braku światła.

Profesor osuwa się bezwładnie na krzesło”.

Sprytne, prawda? Całkiem niezła dramaturgia. A jednak w chrześcijaństwie nie chodzi o sofistykę i retoryczne potyczki, nawet zwycięskie. Przed trudnymi pytaniami zawsze w końcu będziemy musieli zdecydować, czy chcemy uwierzyć Bogu. Bo chrześcijaństwo to kwestia wiary, a nie argumentów.



Obrońca Pana Boga

Przychodzą do mnie różni ludzie i pytają: „Dlaczego nie mam męża/żony? Tak się staram, a nie mogę znaleźć”. Bywają też inne historie: „Ciężko zachorowałem, dlaczego mnie to spotyka?”. Zadając takie pytania, jesteśmy w dobrym towarzystwie, jak pisze mój współbrat Krzysztof Pałys na blogu (*Światła miasta*): „Święty Antoni Wielki pościł, modlił się i prosił Boga o wyjaśnienie, dlaczego jedni umierają w młodości, a drudzy na starość, jedni żyją bogobojnie i biedują, inni wiodą żywot zły i opływają w dostatki. Usłyszał głos: «Antoni, wsłuchuj się w siebie, a wyroków Bożych nie badaj, nie są one użyteczne dla ciebie»”.

Nie wyobrażam sobie życia bez pytań i tak naprawdę model człowieczeństwa spełnionego to jest model człowieczeństwa poszukującego, wiecznie pytającego. W tym tkwi szkopuł: z jednej strony człowiek inteligentny to ten, który umie siebie zakwestionować, umie zadać pytania sobie, społeczeństwu, Bogu. Człowiek, który nie pyta, nie rozwija się. Z drugiej zaś strony mamy w sobie wielkie pragnienie pokoju, a pytania ten pokój burzą.

Ja także zadaję pytania, chociaż wyznam szczerze, że w wypadku pytań najważniejszych towarzyszy mi założenie, że odpowiedź może przyjść z zupełnie innej strony, niż się spodziewam. Nieraz zdarzyło mi się walić głową w mur, a w ścianie obok otwierała się nieoczekiwanie niezauważona przeze mnie wcześniej furtka. Często odpowiedź przychodzi nie wprost, nie poprzez bezpośrednie wyjaśnienie przyczyn i skutków, na przykład że coś dzieje się we mnie i ze mną dlatego, że trudne dzieciństwo, że geny czy wykształcenie. Nic z tego! Dlaczego właściwie jestem gruby? Bo mam takie geny. Wow, ale odpowiedź! Niby wszystko jasne, tylko co mi to daje – mam się z tym pogodzić i żreć na umór? A może walczyć z tym za pomocą cudownych diet? No bo skoro to geny, to psycholog chyba odpada, czyż nie? Otyłość: wybór czy fatum? – to byłby dobry tytuł artykułu w kolorowym magazynie, ale moje życie domaga się czegoś innego niż takich gazetowych mądrości.

Wszystko będzie dobrze?

Rozmawiałem niedawno z młodym współbratem, który zapadł na jakąś tajemniczą chorobę – nie wiadomo, co mu jest, a jest coraz gorzej. Gadaliśmy przez Skype’a, zastałem go przy pracy nad konferencją o męstwie. Ironia losu?

Powiedział mi: „Zrozumiałem, że męstwo to jest taki moment, w którym od pytania: dlaczego ja, przechodzisz do pytania: co mam z tym zrobić? Pytanie: dlaczego ja,

nie ma sensu, bo nie ma na nie odpowiedzi, nigdy się tego nie dowiem. Ale mogę się dowiedzieć, jak przeżyć dobrze to, co mi się przydarza”.

Przygotowanie konferencji o męstwie stało się dla niego początkiem otrzymywania odpowiedzi na dręczące go pytania i lęki. Poczułem ulgę, bo już, już blisko było, żebym wszedł w rolę adwokata Pana Boga: trzeba coś temu bratu wyjaśnić, jakoś go pocieszyć. Bóg sam zatroszczył się o swoją „obronę” i zaczął powoli udzielać odpowiedzi, której pierwszym słowem było „męstwo”, czyli umiejętność przechodzenia od pytania: dlaczego ja, do pytania: co robić? To tak jak w czasie ostatniej wielkiej wojny: można było spędzić sześć lat okupacji, zastanawiając się, co myśmy złego zrobili, albo zacząć sobie po prostu pomagać, organizować się, chronić lub walczyć.

Ja sam, kiedy przytrafia mi się jakieś nieszczęście albo choroba, nie pytam Boga: za jakie grzechy? Na takie pytanie w odpowiedzi pojawia mi się bowiem cała ich lista, ale czy to naprawdę jest odpowiedź? Czy Bogu chodzi o to, by nas dręczyć rozpamiętywaniem naszych win? Najczęściej robię wtedy znak krzyża i mówię: Panie Boże, jeśli w jakiś sposób to moje cierpienie możesz włączyć w swój Krzyż, jeśli komuś może się ono przydać, to Ci je ofiaruję. Czasem podaję intencję, na przykład za moich braci, którzy zmagają się z czymś trudnym w swoim życiu. Ból nie robi się od tego mniejszy, ale pojawia się poczucie sensu. Pojawia się początek odpowiedzi na odwieczne pytanie o miejsce cierpienia w naszym życiu.

Tyle, jeśli chodzi o mnie. Ale kiedy pytają inni, to budzi się we mnie boski adwokat, chcę Boga tłumaczyć, wyjaśniać. A może trzeba po prostu posłuchać? Posiedzieć razem w milczeniu, wspólnie popłakać? Pomóc, jeżeli można? Po wielu latach życia i rozmaitych doświadczeniach mam w sobie przekonanie, że w Bogu znajduje się wyjaśnienie wszystkiego, co nas gnębi, męczy i niepokoi, ale to On, a nie ja da ostateczną odpowiedź. Ja mam Mu tylko zrobić miejsce.

Chociaż więc w dyskusji z kimś bez wahania przyjmuję rolę adwokata i potrafię błyskotliwie Pana Boga bronić, sam nieraz z trudem próbuję zrozumieć Jego zamysły. Potrzebuję, żeby On dał mi doświadczyć, że moje życie, takie jakie jest, z tym konkretnym pakietem na start i bagażem późniejszych doświadczeń, ma sens. Pragnę „usłyszeć” od Niego: nie martw się, wszystko będzie dobrze. Ten wyświechtany zwrot nieraz nas denerwuje, ale tak naprawdę rozpaczliwie potrzebujemy takiego zapewnienia. I ono przychodzi. Dlatego w tych wszystkich sprawach, z którymi ludzie do mnie przychodzą lub które mnie samemu się przydarzają, mam w sobie jakiś dziwny spokój, nadzieję graniczącą z pewnością, że będzie dobrze, że to się wszystko gdzieś pojedna, rozwiąże, ułoży i uspokoi.

„Na końcu naszego rozumienia świata, rozumienia dramatów ludzkich, a także własnego dramatu, patrzysz na samego siebie, widzisz, coś przeżył, coś przecierpiał, ile rzeczy przegrałeś, widzisz to wszystko, coś wygrał,

i nagle – może pod koniec życia – oświeca cię ta świadomość, że «dobre było»... Może właśnie o to naprawdę chodzi, może jesteśmy na tym świecie po to, żeby na końcu powtórzyć najpiękniejsze słowa, jakie Pan Bóg wypowiedział w dniu naszego stworzenia: «Dobre było». I niech tak zostanie” (J. Tischner, *Myśli wyszukane*).

Te słynne już ostatnie słowa ks. Tischnera łączą mi się z moim (nieustannym) przeczuciem, że będzie dobrze – nie gładko, nie bezboleśnie, nie beztrasko, ale DOBRZE, tak że patrząc wstecz na swoje życie, powiemy „dobre było”, jeśli tylko zawiesimy je na Bogu i perspektywie wieczności z Nim. Problem w tym, jak uparcie twierdzi moja znajoma, że dziewięćdziesiąt kilka procent ludzkości jest zainteresowanych wyłącznie tym, co tutaj – niechętnie myślą o ostatecznym zespoleniu z ziemią cmentarną, nawet jeśli w istocie oznacza to zespolenie z Bogiem.

Bóg jak sokowirówka

Miałem kiedyś taką wizję Pana Boga, podzieliłem się nią nawet w kazaniu, uspokajając ludzi, że choć jest to wizja mocno osobliwa, to nie muszą wzywać pogotowia psychiatrycznego. Otóż wyobraziłem sobie Boga w postaci sokowirówki, gdzie wirnikiem w środku jest Krzyż Chrystusa. Do bębna wpadają wszystkie nasze nieszczęścia, trudne doświadczenia, choroby, grzechy, zbrodnie, ból, słowem cała ciemność w znaczeniu moralnym, ale też ciemność w znaczeniu niewiedzy, niepokoju wynikającego z tego,

że tak mało wiemy. A Krzyż się obraca w tym bagnie, powoli, cierpliwie i ściera to wszystko, i w sobie tylko wiadomy sposób wyciska z tego najczystszy sok, jaki tylko może być. Sok życiodajny – dobro. I to jest moja nadzieja. Powiem więcej, jeżeli tak nie jest, to naprawdę mamy *a big problem*.